



PIONIERKA W DZIEDZINIE BADAN PODWODNYCH
SYLVIA EARLE



FOTOGRAF PODWODNY
DAVID DOUBILET



ODKRYWCA
GHISLAIN BARDOUT



SYSTEM PRZEDŁUŻANIA
BRANSOLETY
ROLEX GLIDELock

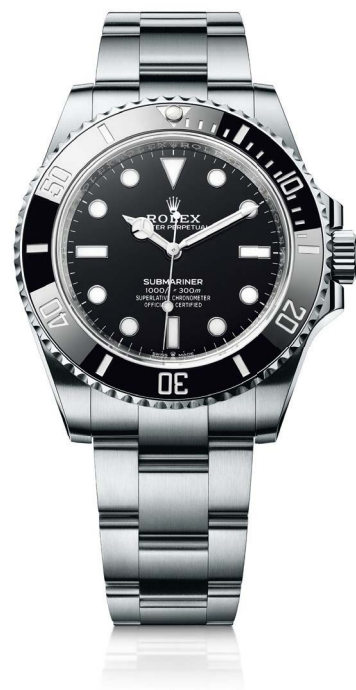


KALIBER 3230

SUBMARINER NOWEJ GENERACJI

Submariner, stworzony dla nurków w 1953 roku, wkrótce zasłynął jako archetyp zegarka do podwodnych eksploracji. Dzięki swojej legendarnej konstrukcji stał się synonimem wodoodporności i niezawodności oraz wykroczył poza swoje pierwotne przeznaczenie. Pozostając wiernym swojemu nurkowemu dziedzictwu, Submariner stał się również zegarkiem chętnie używanym na lądzie i doskonałym towarzyszem, upamiętniającym najważniejsze chwile w życiu swoich użytkowników. Teraz, dzięki zastosowaniu nowej koperty 41 mm i mechanizmu nowej generacji, Submariner kontynuuje swoją historię.

#Perpetual



OYSTER PERPETUAL SUBMARINER


ROLEX



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Tańczący z łopata

Spodziewałem się, że w swojej drugiej kadencji Andrzej Duda będzie nastawiony bardziej ofensywnie i na razie prezydent mnie nie zawodzi. W internecie widziałem, jak podczas akcji sadzenia drzew w nadleśnictwie Lipusz Duda przy użyciu łopaty atakuje ziemię, próbując zrobić w niej dziurę. Najpierw łopatą ziemię dziabi, a następnie staje na łopacie i podskakuje na niej, starając się ostatecznie złamać opór ziemi.

Filmik pokazuje, że wbrew temu, co się mówi, Andrzej Duda znajduje się w dobrej formie, w każdym razie fizycznej. Ziemia pod jego naporem broni się, ale nie wiadomo, jak długo by wytrzymała, gdyby nie to, że pan prezydent, widząc, że dysponuje przynajmniej przewagą fizyczną, w pewnym momencie rezygnuje. Dla niektórych to dowód, że starcie przegrał, bo dziury nie wykopał, jednak moim zdaniem był remis – wprawdzie Duda krzywdy ziemi nie zrobił, ale trzeba przyznać, że nie zrobił jej również sobie, chociaż były momenty, że wydawało się, że zrobi.

Opinie na temat nie do końca udanej próby wbicia przez prezydenta łopaty w ziemię są podzielone. Przeważa opinia, że Andrzejowi Dudzie podstawiono nieodpowiednią ziemię, która, kto wie, czy nie została w ostatniej chwili celowo podmieniona. W grę mógł też wchodzić wadliwy szpadeł – być

może niepolskiej produkcji, bo w ogóle nie chciał się w polską ziemię wbijać. Moim zdaniem jednak Duda po prostu musi się jeszcze dużo uczyć od takich mistrzów jak prezes Kaczyński, który podczas inauguracji przekopu Mierzei Wiślanej operował łopatą z wielkim sukcesem – ta łopata go słuchała i prezes nie musiał nawet na nią wskakiwać. Tak czy inaczej kąśliwe ciosy wyprowadzone przez Andrzeja Dudę pokazują, że jego przeciwnicy muszą się z nim liczyć i traktować go poważnie. Prezydent dał wyraźny sygnał, że nie zawaha się brać za rzeczy, których nie potrafi robić. Znamy go już od tej strony, bo widzieliśmy, jak odwoływał prezesa TVP, ale od tamtego czasu wyraźnie zmęźniał i nabrał sił. Jestem pewien, że gdyby w sprawie odwołania Jacka Kurskiego był tak straszliwie zawzięty jak w sprawie kopania dołka w ziemi, Kurski byłby dziś kompletnie odwołany.

Osobiście akcję Andrzeja Dudy odczytuję nie tylko jako ostrzeżenie dla przeciwników i być może zapowiedź weta w sprawie piśmowskiej ustawy o ochronie zwierząt, ale również jako hołd złożony ciężkiej doli rolnika. Jego zmagania potwierdziły, że rolnik nie ma lekko, zaś rolnictwo, a w szczególności kopanie w ziemi, to robota niewdzięczna, bo człowiek spoci się i utyła, a inni tylko stoją z boku i się z niego śmieją.



rabat
250 zł/os.
dla wszystkich
rezerwacji do
12 października 2020

Rezerwuj bez ryzyka - Gwarancja Bezpieczeństwa Albatros przy rezerwacji do 31 października 2020!

Możliwość bezkosztowej anulacji i zwrot wpłaconej zaliczki lub zmiana rezerwacji na inną podróż. A to wszystko do 60 dni od założenia rezerwacji!

Szczegóły na www.albatros.pl

8 dni, 3 998 zł

Ślawna Wenecja i nieznane Veneto

U stóp Dolomitów leży włoski region Veneto (Wenecja Euganejska) z miastami takimi jak Padwa, Vicenza oraz oczywiście Wenecja – nazywana także Królową Lagun.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Wenecji. Spacer po Jesolo. Dz. 2 Zwiedzanie Wenecji. Przeptnięcie łodzią na Plac św. Marka, spacer po mieście. Dz. 3 Padwa i Vicenza. Dz. 4 Wyspa szklarzy Murano, kolorowa wyspa Burano i Wenecja. Dz. 5 Czas wolny lub całonocna wycieczka do Caorle i gospodarstwa agroturystycznego. Dz. 6 Bassano del Grappa - Włoska grappa. Most Ponte Vecchio. Valdobbiadene. Dz. 7 Dzień wolny. Dz. 8 Jesolo – Wenecja. Powrót do Warszawy.

 Wylot z Warszawy 28/04 2021



#WspomnieniazAlbatrosem



7 dni, 5 798 zł

Moskwa i Złoty Pierścień Rosji

Zapraszamy w niezwykłą podróż do historycznych miast położonych na szlaku Złotego Pierścienia Rosji będących kolebką rosyjskiej państwowości.



 Wyloty z Warszawy 06/06, 15/09 2021

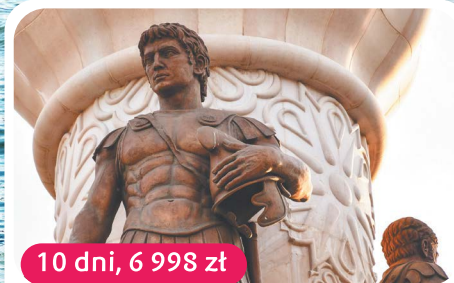


13 dni, 13 498 zł

Madagaskar – kraj lemurów i baobabów

Madagaskar ze swoją dziewiczą przyrodą to prawdziwy raj dla każdego podróżnika. Podczas wędrówek po trzech malowniczych parkach narodowych zobaczymy charakterystyczne drzewa baobabu oraz słynne lemury, które żyją tylko tutaj. Poznamy lokalne tradycje, odwiedzimy warsztat produkcji ręcznie robionego papieru i spróbujemy lokalnego wina. Będzie też czas na relaks na plaży lub przy basenie.

 Wylot z Warszawy 24/11 2021



10 dni, 6 998 zł

Śladami Aleksandra Wielkiego

Niezwykła podróż do miejsc związanych z Aleksandrem Wielkim od Macedonii przez Albanię i Grecję do Turcji.

"Czekałem na taką podróż latami. Po raz pierwszy na polskim rynku turystycznym pojawiły się wycieczki o podłożu stricte naukowym, mądre i pouczające, czego dowodem jest podróż śladami Alexandra Macedońskiego - z mądrą i przygotowaną do tej trudnej roli-przewodniczką" Lech

 Wylot z Warszawy 10/04 2021

Ból języka



Jerzy Baczyński

Sądząc z medialnych relacji i emocji, najważniejszym wydarzeniem ostatnich dni (tygodni, miesięcy?) było podpisanie tajemniczego porozumienia między koalicjantami tzw. Zjednoczonej Prawicy. Jarosław Kaczyński, podczas zdawkowej ceremonii złożenia podpisów (tradycyjnie, bez możliwości pytania o cokolwiek), oświadczył, że to radosna wiadomość dla Polaków. I dodał: „wierzę w to, co przed chwilą powiedziałem”. Trudno jednak uwierzyć, że ten wymęczony, niejasny pakt stabilizacyjny zapowiada cokolwiek innego niż czasowe zawieszenie broni między frakcjami obozu władzy. Także (ewentualne) sensacyjne wejście Kaczyńskiego do rządu w dziwnej roli wicepremiera, rozjemcy między Morawieckim i Ziobrą, nadzorczy służb siłowych, śledczych i specjalnych, wyraźnie wskazuje, gdzie znajdują się niewralgiczne punkty nowego układu władzy i jakim zagrożeniem trzeba zapobiec. (Analiza na s. 12). Najkrócej: priorytetem staje się utrzymanie chwiejnej równowagi wewnątrz koalicji, także przez nowy podział stref wpływów oraz niedopuszczenie do wzajemnych ataków przy użyciu prowokacji, przecieków i haków.

Trudno sobie wyobrazić, aby poza kolejnymi aktami wojny kulturowej i propagandowej ten układ był zdolny do realnego usprawniania państwa (co widać po niezbornej walce z pandemią), nie mówiąc o podejmowaniu ciężkich wyzwań, jakie ma przed sobą cały zachodni świat, a które pandemia jeszcze nasiliła. W okres „multikryzysu” (klimat, demografia, finanse publiczne, edukacja, zdrowie...) nasze państwo weszło słabe, zajęte sobą, skupione na walce z urojonymi ideologiami. A przede wszystkim: ograniczone umysłowymi horyzontami i fizycznymi siłami jednego człowieka.

Zajmujemy się polską polityką co tydzień, z przekonania, z ciekawości i z obowiązku, ale czasami ma się ochotę zaprotestować przeciwko przelewaniu z pustego w próżne i demonstracyjnej arogancji władzy – dokładnie jak w mijającym tygodniu. Tym bardziej się cieszę, że możemy w tym numerze zaproponować Państwu niezwykle, trochę odświeżającą, oderwaną od politycznej łupaniny lekturę: napisany specjalnie dla POLITYKI esej Olgi Tokarczuk, który publikujemy niemal dokładnie w rocznicę przyznania Autorce literackiej Nagrody Nobla. To pierwszy taki tekst Olgi Tokarczuk od czasu jej słynnej mowy noblowskiej; i w jakimś stopniu kontynuacją podjętych wtedy wątków. Ten esej jest też zapowiedzią i otwarciem wyjątkowego przedsięwzięcia publicystycznego o nazwie Ex-centrum (więcej na s. 24).

W kolejnych numerach POLITYKI zaproszeni autorzy będą mierzyć się ze zdaniem postawionym przez Olę Tokarczuk – bagatela: chodzi o namysł nad światem przyszłości, „jaki rodzi się na gruzach starego”. Jeśli o czymś naprawdę w tych niemądrych czasach warto i trzeba rozmawiać, to właśnie o tym. Proponujemy zatem (jak na ilustracji, którą przywołuje Olga Tokarczuk), aby wystawić głowę poza otaczającą nas bańkę powszedniości i popatrzyć za widnokrąg. Nie wiem, co znajdzie się w kolejnych esejach, ale zadanie dotyczy też samego języka opisu, szukania słów i pojęć otwierających wyobraźnię.

Jak to jest potrzebne, pilne, a zarazem trudne, widać choćby na naszym politycznym, gazetowym poletku. Wielokrotnie, opisując polską politykę, przeżywamy coś, co można nazwać bólem języka. Właściwie znaczną część pojęć, nazw, nawet nazw własnych

trzeba by wziąć w cudzysłów (bo ich znaczenie jest niepewne) lub dodawać gwiazdki i odnośniki. Przykład pierwszy z brzegu: jak pisać „Trybunał Konstytucyjny”, czyli nazwę instytucji, która w praktyce jest własną parodią, nie ma wiele wspólnego ani z trybunałem w sensie sądu, ani z konstytucją, gdyż na ogół pieczętuje jej naruszanie? Czy o Mateuszu Morawieckim pisać „premier”, kiedy jego szefem w rządzie może być wicepremier, który jest de facto głową państwa, choć formalnie najwyższym urzędnikiem pozostaje „prezydent” – w praktyce postać bez znaczenia politycznego? A co z „Krajową Radą Sądownictwa”, „Radą Mediów Narodowych” czy, za przeproszeniem, „Telewizją Publiczną”? Ba, drętwienie języka może się przytrafić przy nazywaniu Zbigniewa Ziobry „ministrem sprawiedliwości” czy Piotra Glińskiego „ministrem kultury”. Same nazwy własne partii „Prawo i Sprawiedliwość”, „Solidarna Polska”, „Porozumienie”, a nawet „Platforma Obywatelska” czy „Sojusz Lewicy” – brzmią jak oksymoron, kpina z języka.

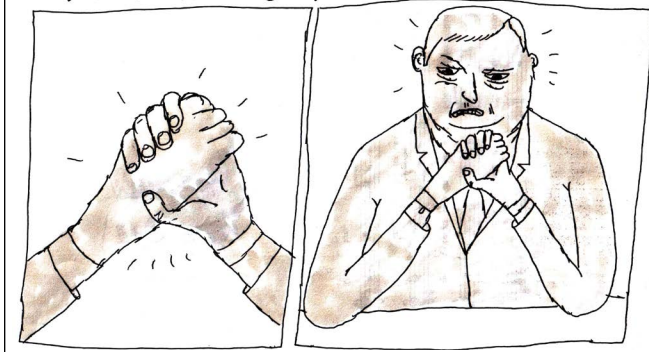
Tak samo dzieje się z pojęciami ogólnymi: demokracja może już być „demokracją neoliberalną”, „suwerenność” synonimem zamordyzmu, a wyrok sądu – opinią. Nie chodzi tylko o to, że polaryzacja polityczna spowodowała rozdwojenie języka tzw. debaty publicznej, a niemal każde słowo ma swoje drugie, często odwrotne, znaczenie, swój cień. Gorzej, że w ogóle nie mamy języka do opisu nowej rzeczywistości politycznej, ekonomicznej, medialnej, społecznej, gdzie od pewnego czasu wszystko staje się płynne, niejednoznaczne, zmienne. Szukamy więc jakichś mniej lub bardziej kulawych analogii, metafor, neologizmów.

Pytałem znajomych, jakie względnie nowe słowa wtargnęły ostatnio do ich codziennego słownika. Oczywiście wszystko, co związane z językową obsługą pandemii (kwarantanna, izolatorium, respirator itd.); ale też słowo „zdalne” (znaczną część naszej aktywności stała się zdalna lub tele-); algorytm, rozumiany jako wzory jakichś nowych procedur; bańka („moja bańka”, jako opis miejsca społecznego); „niebinarne” czy „transfobia” – odnoszące się do definicji płci. W tym amatorskim katalogu są też słowa ledwie spolszczone „zooming”, „taping”, „gaming” i wiele innych odwołujących się do rzeczywistości wirtualnej, w jakiej coraz głębiej tkwimy, my i dzieci nasze. Ale, ogólnie, nowy słownik rodzi się wolnej niż nowa rzeczywistość, a to znaczy, że opis będzie się coraz bardziej odklejał od realiów, prowokował nieporozumienia, ułatwiał manipulacje i mistyfikacje.

Szukanie nowych słów, pojęć i opisów (liczymy tu na Ex-Centrum) jest więc niezbędne i nieuniknione. Ale warto też, żebyśmy próbowali odzyskiwać utracone czy ukradzione słowa, przywoływali ich pierwotne znaczenia i sens. To wciąż może być pouczające i zabawne, jeśli przypomnieć sobie, że minister to znaczy sługa, że premier kieruje rządem, Sejm to miejsce rozmowy (parlament), zaś demokracja nie oznacza bezwzględnych rządów większości. A już zwłaszcza – rządów większości w osobie jednego starszego pana. Język jest giętki, ale są też granice przegięcia.

Jan Koza

WALKA O WŁADZĘ



© JAN KOZA

Papież w barszczu

Umieszczona na dziedzińcu Muzeum Narodowego w Warszawie instalacja „Zatrute źródło” Jerzego Kaliny (rocznik 1944) przynajmniej w mediach społecznościowych budzi większe emocje niż układanki w rządzącej koalicji. Przedstawia Jana Pawła II z głazem wycelowanym w zabarwioną na czerwono sadzawkę, metaforę – jak wyjaśniał swe intencje sam twórca – pełzającej rewolucji. „Czerwonych złogów z polskich ulic do tej pory nie pozbyliśmy się. Znów do głosu dochodzi grupa radykalnych ludzi, których mentorzy z wyżyn pierwszomajowych trybun ślali maszerującemu ludowi najlepszą z możliwych socjalistyczną nowinę. Teraz widzimy, jak z czerwonej flagi towarzystwo przeszło na tęczową. Chciałbym, żeby skończyły się te ekscesy z symbolami religijnymi. Dotyka mnie to osobiście” – wyjaśniał Kalina. Ale oczywiście są też skojarzenia z dziełem „Dziwiątą godziną” Maurizio Cattelana, z papieżem przygniecionym meteorytem, ustawionym przy warszawskiej Zachęcie w 1999 r. i budzącym nie mniejsze kontrowersje. Kalina przyznał, że praca Włocha obrażała go jako Polaka katolika. Reaguje jednak z refleksem szachisty.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte złożyły się w internecie w śmieszno-straszny obrazek, a raczej wiele obrazków – memów



przedstawiających Jana Pawła II ciskającego głaz w pobliską siedzibę Telewizji Polskiej czy prezesa PiS, ładującego kamień do luku bagażowego w samolocie i brodzącego w barszczu. W wariacie poważnym: skąpanego we krwi ofiar pedofilów w sutannach. Gdzieniegdzie papież Kaliny towarzyszy papieżowi Cattelana z podpisem: „Dlaczego papieżu się nie lubią? :|”.

Adlaczego z Jana Pawła II łatwiej dziś Azadur niż dekadę czy dwie temu? – W psychologii jak w fizyce: im mocniejsza akcja, tym mocniejsza reakcja – tłumaczy Andrzej Tucholski, psycholog z Uniwersytetu SWPS. – Silny i szczery kult Jana Pawła II wywołał kontrkult w osobach

skłóconych z Kościołem, ateistach, niezadowolonych go za życia młodych, a także, po prostu, w internetowych śmieszkach nieprzejmujących się czymiś emocjami. Tych grup jest sporo. Na to zachowanie nakłada się ogólna niechęć do autorytetów. Jak zauważył na Facebooku pewien historyk sztuki, twórca tego w sumie banalnego dzieła wykazałby się większą odwagą, gdyby umieścił w swej brezentowej sadzawce faktycznych rycerzy wojujących z tęczową zarazą, np. abp. Marka Jędraszewskiego. Wtedy dopiero by zawrzało. (AŻ)

Zdekoncentrowana opozycja

Trzeba było czekać na to kilkanaście tygodni, ale wreszcie największa formacja opozycyjna ma ruszyć z kopyta i zająć się tym, co jest jej zasadniczym zadaniem, czyli pilnowaniem i punktowaniem władzy, a także przygotowywaniem konترفerty programowej. Tak przynajmniej zapowiedziano podczas sobotniej rady krajowej. Wcześniej był z tym problem, ponieważ Platforma była skupiona przede wszystkim na wewnętrznej walce o szefostwo klubu parlamentarnego. Nie wykorzystała przez to co najmniej kilku szans – w tym ostatniego, najpoważniejszego kryzysu – na rozegranie obozu rządzącego i zaprezentowanie się jako poważna polityczna alternatywa. Przeciwnie, PO podważyła swoją wiarygodność, układając się z PiS w sprawie zwiększenia parlamentarnych uposażeń. A z wotum nieufności wobec ministra Ziobry wyskoczyła dopiero, kiedy Zjednoczona Prawica zaczęła się ze sobą godzić, co wielu odczytało jako ruch w istocie konsolidujący obóz ZP. – *Jarkowi brat uprosił w niebie taką opozycję* – dworuje jeden z posłów PiS.

Teraz ma być już tylko lepiej – zapewniają członkowie Koalicji Obywatelskiej. A zadbać o to ma nowy szef klubu **Cezary Tomczyk**, który w ostatni piątek wygrał z Urszulą Augustyn stosunkiem głosów: 115 do 56. 36-letni poseł należy do ścisłego grona decyzyjnego PO; współpracuje z Borysem Budką, ale w partii uchodzi za „człowieka Trzaskowskiego” (pomagał mu w kampanii samorządowej, był też szefem jego sztabu w ostatnich wyborach). Dotychczas znany był przede wszystkim z tego, że „ma dojścia do telewizji” i dobre relacje z dziennikarzami (był rzecznikiem premier Kopacz). Choć jest jednym z tych, którzy w partii reprezentują „świeżość i młodość”, ma całkiem spory staż poselski – to już jego czwarta kadencja w Sejmie. Przed nim nie lada zadanie, ponieważ w koalicyjnym klubie sytuacja od dłuższego czasu jest mocno napięta. A wewnętrzne wybory tylko pogorszyły nastroje – pokłócono się nawet o sposób wyboru szefa klubu (zarzewiem konfliktu była nagła zmiana regulaminu umożliwiająca dodawanie kilkudziesięciu głosów z pełnomocnictw).



Niemal do ostatniego momentu nie było zresztą wiadomo, kto wystartuje, bo obie z rywalizujących grup – tj. stronników obecnego szefa PO oraz tych skupionych wokół jego poprzednika Grzegorza Schetyny – zmieniały swoje typy. I tak początkowo Borys Budka (któremu dotychczas podlegał klub) na swojego następcę chciał wskazać Roberta Kropiwnickiego, ale ten zbłamował się głosowaniem ws. podwyżek, co koordynował. Potem mowa była o obecnym rzeczniku partii Janie Grabcu i pośle Jacku Protasie; w końcu stanęło na Tomczyku.

Z kolei druga strona stawiała początkowo na Tomasza Siemonia, ale ten swój start uzależnił od uzyskania poparcia także od Budki i Trzaskowskiego. Chciał być kandydatem konsensu – jak tłumaczył, ale dało się w tym wyczuć także obawę przed kolejną przegraną (w styczniu poległ w starciu z Budką o szefostwo partii). Do wyścigu włączył się więc poprzedni szef klubu Sławomir Neumann, a następnie poseł z otoczenia Siemoniaka Arkadiusz Myrcha. Obaj tuż przed wyborami wycofali się i poparli Urszulę Augustyn – zgłoszoną oficjalnie przez Małgorzatę Kidawę-Błońską, która z kolei ma żal do obecnego władz partii o to, jak potraktowano ją w jej kampanii i zaraz po niej. – *Nie czarujemy się, i Tomczyk, i Augustyn to zastępczy kandydaci* – mówią osoby z KO. Bo spór w istocie dotyczył tego, która z frakcji będzie miała wpływ na funkcjonowanie klubu i codzienną politykę. Parlamentarzyści opowiedzieli się za kontynuacją, co jednak nie może oznaczać powtórki z dotychczasowych błędów, które Tomczyk również firmował.

Wciąż też nie wiadomo, jaka będzie zależność między KO a ruchem Trzaskowskiego, który ma wkrótce wystartować. Platformersi powtarzają, że „to nie będzie inicjatywa polityczna”. Pytanie więc, w jaki sposób niepolityczny byt ma pomóc wygrać stricte polityczną walkę? Na razie Trzaskowski – zarazem wiceszef PO – kolejny raz ogłosił koniec z „totalną opozycją”. Echa takiej polityki już widać w... Senacie. Z fotelem dyrektora Centrum Informacyjnego żegna się Grzegorz Furgo. – *Był zbyt antypisowski. Dostanie inne stanowisko, ale musi zejść z pierwszej linii* – słychać. Przy rozwodnionej i podzielonej opozycji prezes Kaczyński będzie mógł się spokojnie skupić na pilnowaniu Zbigniewa Ziobry. (MLV)

Nie będzie niczego

Kraśnik staje się miastem wolności. Najpierw od LGBT, teraz od internetu. W ubiegłym tygodniu radni poparli petycję „Stop zagrożeniu życia i zdrowia”, autorstwa Stowarzyszenia Koalicja Polska Wolna od 5G. W ten sposób chcą powstrzymać „wprowadzenie standardu 5G bez wcześniejszego zbadania jej wpływu na zdrowie mieszkańców”. Jednocześnie zagłosowali za tym, by „istniejąca sieć Wi-Fi w szkołach” została zdemontowana, a nowe instalacje sieci komputerowych zostały wykonane „w oparciu wyłącznie o połączenia kablowe ethernetowe bądź światłowodowe”. Koalicja Polska Wolna od 5G w petycji domaga się również „przełączania telefonów na tryb samolotowy w czasie lekcji” i zakazu ich używania na przerwach „poza celami związanymi z informowaniem rodziców lub w celach alarmowych”. Za postulatami zawartymi w petycji zagłosowało dziewięciu radnych. Sześciu było przeciw, trzech wstrzymało się od głosu.

Wolnościowe dążenia Kraśnika zaczęły się już w maju 2019 r. To wtedy radni miasta jako jedni z wielu w całej Polsce przyjęli uchwałę o „powstrzymaniu ideologii LGBT”. Nikt w Kraśniku nie myślał, by ugiąć się pod presją opinii publicznej. Nawet kiedy w lutym 2020 r. współpracę z miastem zerwała francuska gmina Nogent-sur-Oise. Argumenty finansowe też nie trafiają do rajców z Kraśnika. Z powodu uchwały o „powstrzymaniu ideologii LGBT” wstrzymane mają zostać cenne dla miejskich inwestycji fundusze norweskie. Minister spraw zagranicznych Norwegii Ine Eriksen Søreide ogłosiła, że „Kraśnik i gminy z podobnymi deklaracjami nie otrzymały wsparcia projektowego w bieżącym okresie finansowania i nie otrzymają takiego wsparcia, dopóki te deklaracje będą ważne”. Dla Kraśnika oznacza to stratę 3–10 mln euro.

Co złośliwsi wypominają kraśnickiej prawicy, że nie zawsze dbała o standardy moralne, których dzisiaj tak zaciekle broni. W 2013 r. w mieście wybuchł obyczajowy skandal, po tym jak członek lokalnego PiS został przyłapany w niedwuznacznej sytuacji w zamkniętym mieszkaniu w towarzystwie miejskiej radnej. W strachu przed mężem kobiety miał wyskoczyć z pierwszego piętra, łamiąc nogi i rękę.



**Kontrola graniczna przy
wjeździe do Kraśnika ...**



Wypędzanie wi-fi ze wsi. Kraśnik.
Początek XXI w. (ze zbiorów
Narodowego Centrum Patriotyzmu)

Ostatnio próbowano uchylić uchwałę; debata była burzliwa. Burmistrz przekonywał, że Kraśnik „chyba nie jest” homofobicznym miastem. „W Kraśniku nie ma homofobii!?” – dziwił się Cezary Nieradko, pochodzący z Kraśnika gej i inicjator uchylenia uchwały. – Dawid był duszony na stacji PKP przez ojca. Ojciec dusił własne dziecko, dlatego że jest gejem! Za nasze podatki cofnęliśmy nas do jesieni średniowiecza!”. Część radnych wskazywała na konsekwencje finansowe – w 30-tys. mieście, w powiecie z bezrobociem utrzymującym się na poziomie 10 proc. (w skali kraju wynosi ok. 6 proc.), każda inwestycja jest na wagę złota, a te mogą się zatrzymać bez europejskiego wsparcia. Mimo to 11 radnych obroniło uchwałę.

Sytuacja w Polsce wywołała bezprecedensową reakcję ambasadorów 50 krajów, którzy wystosowali list otwarty w obronie osób LGBTI. Wskazują w nim, że: „Prawa człowieka są uniwersalne i wszyscy, w tym osoby LGBTI, mają prawo w pełni z nich korzystać. Jest to kwestia, którą wszyscy powinni wspierać”. Pod apelem podpisali się m.in. ambasadorowie Albanii, Argentyny, Australii, Belgii, Dominikany, Francji, Hiszpanii, Holandii, Indii, Izraela, Japonii, Malty, Niemiec, RPA, Szwecji, Ukrainy, USA, Wenezueli i Wielkiej Brytanii.

List – a przede wszystkim zaangażowanie ambasador USA Georgette Mosbacher w jego rozpropagowanie – wywołał burzę na prawicy. Rozjuszył zwłaszcza Joachima Brudzińskiego, który kilkakrotnie zaatakował Mosbacher na Twitterze, pisząc, że „czekamy w Polsce” na jej głos i obronę „ludzi poddawanych wbrew swej woli eutanazji” czy „pracujących w chrześcijańskich poradniach rodzinnych zmuszanych do oddawania sierot do adopcji parom homoseksualnym”. To już kolejny raz, kiedy pani ambasador staje w obronie wartości, z którymi obozowi rządzącemu wyraźnie nie po drodze (wcześniej broniła m.in. niezależności mediów). Tymczasem Mosbacher podkreśla: „Prawa człowieka to nie ideologia”. (MS, MLV)

Polska wywiezie uchodźców?

Radosław Sikorski



Polska polityka nie imponuje powagą. W szczycie zachorowań na koronawirusa, gdy gospodarka tonie, a deficyt budżetowy eksploduje, nasi ministrowie przepychają się o to, czy przyznać sobie niekonstytucyjny immunitet od łamania prawa. Przywódcy koalicji położyli rewolwery na stole, upewnili się, że wszystkie są nabite i zdecydowali, że jednak lepiej je schować. Tylko taka jest treść tajnego porozumienia koalicyjnego, co znowu mnie upewnia, że naszej polityce daleko jeszcze do standardów europejskich. Widziałem tam kilkadziesiąt przetasowań rządowych, ale ani jednego, w którym dyskutowano by, kto na kogo ma jakie haki. Gra kompromatami to standard postsowiecki.

W tym zamieszaniu umknąć może pierwsza mowa o stanie UE nowej przewodniczącej Komisji Ursuli von der Leyen. Przewodniczącej, której wybór był osobistym sukcesem Mateusza Morawieckiego, bo oznaczał zatrzymanie zniechęconego Timmermansa. Jak oświadczyła wtedy nieoceniona Beata Mazurek, von der Leyen nie wygrałaby bez głosów PiS. Nasza partia rządząca jest zresztą drugą po CDU największą delegacją partyjną w europarlamencie, więc czy von der Leyen mogła nie skonsultować z PiS swojego wystąpienia?

W Polsce zauważono głównie apel von der Leyen przeciwko „strefom wolnym od LGBT”. Prawica wścieka się, że lewicowy happening z wieszaniem tabliczek pod drogowskazami wszedł do światowego obiegu, ale nie chce pamiętać, że naklejki o strefie wolnej od LGBT wymyślili smoleńszczycy z „Gazety Polskiej”. Po czym, za sprawą dobroduszných radnych, termin trafił do prorodzinných rzekomo uchwał popieraných przez Ordo Iuris.

Von der Leyen zgrabnie przyspinała Wielkiej Brytanii cytatem z Margaret Thatcher o konieczności przestrzegania traktatów. Przyjęła też argumenty o tym, że Unia za mało zrobiła w obliczu pandemii. Chcecie, aby ochrona zdrowia nie była już wyłączną kompetencją państw członkowskich, to proszę bardzo, stwórzmy Unię Zdrowotną z minimalnymi standardami dla całego kontynentu. Nawiasem mówiąc, w tę logikę wpisuje się również utworzenie komisji ds. walki z rakiem, której przewodnictwo objął Bartosz Arłukowicz. Chcecie reagować na próbę otrucia Nawalnego czy represje na Białorusi, proponuję ustawę im. Magnickiego tak, aby sankcje można było nakładać

na autorów łamania praw człowieka, a nie na ich kraje. Chcecie zdrowszego powietrza i przywództwa Europy w technologiach niskoemisyjnych? To trzeba przyspieszyć transformację energetyczną. Chcecie większej prywatności i odpowiedzialności w internecie, ale boicie się lobbingu amerykańskich gigantów i rządu USA? Proponuję unijne regulacje i podatki dla tego sektora.

Natomiast nie chcecie przyjmować uchodźców, dobrze, ale wobec tego

wyrażcie inaczej swoją solidarność. Kraje, które nie przyjmują wyselekcjonowanych przez siebie obcokrajowców, aby ulżyć Grecji czy Włochom, będą mogły odebrać od nich nielegalnych migrantów i wywieźć ich z powrotem do ich krajów macierzystych. Zamiast na Okęciu przyjmować syryjskie wdowy z dziećmi suwerenowi będzie można pokazać, jak pod strażą WOT polski most powietrzny wywozi ich z Europy. To się powinno spodobać.

REKLAMA

KORONAWIRUS



Warszawa sfinansuje szczepienia przeciwko grypie dla pracowników miejskich żłobków, placówek oświaty i pomocy społecznej

Szczegóły na: um.warszawa.pl/szczepimy



warszawa19115.pl/koronawirus

19115 WARSZAWA
MIEJSKIE CENTRUM KONTAKTU

Błyskawiczna sędzia Barrett

Podwójne standardy to nie nowina. Republikanie, zapowiadający zatwierdzenie kandydatki prezydenta Trumpa do Sądu Najwyższego **Amy Barrett** jeszcze przed listopadowymi wyborami, sami w 2016 r. odmówili głosowania nad zatwierdzeniem nominata prezydenta Obamy do SN. Twierdzili wówczas, że „to naród powinien współdecydować”, choć do wyborów było osiem miesięcy. Pośpiech Partii Republikańskiej z wypełnieniem wakatu po śmierci Ruth Bader Ginsburg sprawia, że Sąd Najwyższy, wciągany w amerykańską zimną wojnę domową, staje się narzędziem w rękach polityków, co osłabia zaufanie do niego oparte na politycznej niezależności.

Po zatwierdzeniu 49-letniej Barrett, ultrakonserwatywnej katolickiej i uczennicy idola prawicy Antonina Scalia, w SN zasiądzie 6 sędziów zachowawczych i 3 liberalnych. Ponieważ sędziowie ci orzekają dożywotnio, oznacza to dominację konserwatystów na pokolenie, a więc np. możliwość delegalizacji aborcji, zagrożenie innych progresywnych zdobyczy, jak prawa osób LGBT. I powstrzymanie jakichkolwiek zmian liberalno-lewicowych, jak kontrola dostępu do broni czy osłabienie roli pieniędzy w wyborach. Zagrożona jest Obamacare, reforma ochrony zdrowia autorstwa poprzedniego prezydenta. Demokraci próbują temu zapobiec przez wprowadzenie kadencyjności sędziów lub powiększenie ich grona z 9 do 13, ale szanse na to są nikłe.

Nominując Barrett, Trump myślał głównie o zbliżających się wyborach. Sąd Najwyższy ma mu pomóc je wygrać. Ponieważ wyniku głosowania możemy nie poznać, póki nie policzy się wszystkich głosów pocztowych (chce tak głosować 37 proc. Amerykanów, w większości popierających Demokratów), konflikt rozstrzygną sądy, a ostatecznie Sąd Najwyższy. Trump oczekuje, że sędziowie nakażą przerwać liczenie głosów, by dotrzymać terminów certyfikacji rezultatów głosowania. Czy SN znowu da się użyć do takiego celu, jak w 2000 r., kiedy zapewnił wygraną Bushowi? Trump powtórza, że nie uzna swej porażki. (TZ)



Znów Karabach

Kaukaski konflikt, który nie wygasł nawet w najspokojniejszych latach 90., znów o sobie przypominał. W niedzielę rano Armenia poinformowała o azerckim ataku na Górski Karabach, formalnie część Azerbejdżanu, ale od lat 90. opanowaną przez Ormian. Kilka godzin później Azerbejdżan oświadczył, że tylko reaguje na armeńskie provokacje. Tym razem walki są dużo cięższe niż incydentalne starcia z ostatnich lat. Dodatkowo obie strony oficjalnie używają języka wojennego, a do poniedziałku serwisy informacyjne mówiły już o kilkudziesięciu ofiarach.

Spór karabaski to spuścizna napięć narodowościowych jeszcze z czasów, gdy oba państwa były częścią ZSRR. Katalizatorem obecnego waśni jest prawdopodobnie Turcja – choć nigdy nie ukrywała poparcia dla muzułmańskiego Azerbejdżanu, wcześniej nie robiła tego tak otwarcie z obawy o relację z Rosją, tradycyjnie popierającą prawosławną Armenię. Dziś Ankara wyraźnie duplikuje zatarg z Moskwą, znany już m.in. z Syrii i Libii. Niektóre źródła mówią nawet, że Turcy wysłali do Baku syryjskich dżihadystów, którzy walczyli dla nich w Libii. Rosja aż tak pryncypialnie nie podchodzi do sprawy – sprzedaje broń obu stronom, niejednokrotnie mediuła między sąsiadami. Po stronie Armenii – na razie dyplomatycznie – są też dwie potęgi z liczną ormiańską diasporą: Francja i USA.

Tata buduje parlament

Czy to najlepszy moment na taką reprezentacyjną inwestycję, kiedy Indie powoli wysuwają się na czoło państw najbardziej dotkniętych pandemią, a gospodarka skurczyła się o ponad 20 proc.? Premier Narendra Modi uważa, że tak: aby zdążyć z nowym budynkiem parlamentu na 75. rocznicę odzyskania niepodległości, czyli za dwa lata. Obecną siedzibę zbudowali jeszcze Brytyjczycy w 1927 r., na planie koła, z olbrzymią kopułą – i w zasadzie od początku była za ciasna i szykowana na inne potrzeby. W izbie niższej zasiada 550 posłów, a decyzja w tej sprawie zapadła pół wieku temu, kiedy Indie liczyły 580 mln mieszkańców, teraz jeden przedstawiciel reprezentuje w stolicy 2,5 mln wyborców. Przysłałoby się istotnie powiększyć skład, ale posłów nie byłoby gdzie posadzić. To argumenty za.

Prawda jest też taka, że ambitny hinduistyczny nacjonalista Modi chciałby zostawić po sobie trwały ślad w betonie. Stąd wielki projekt przebudowy historycznego serca Nowego Delhi, nieruszanego od lat, wzorowanego na paryskich otwartych przestrzeniach; obok parlamentu – budowa nowych ministerstw, rozrzuconych dziś po całym mieście, i oczywiście okazałej siedziby premiera. Zamierzenie to ma wielu krytyków, którzy podnoszą, że projekt nie był konsultowany, a nowy budynek parlamentu na planie trójkąta jest tyleż kosztowny, co banalny, i że górę wzięła próżność Modiego. Ale kłamka zapadła: za budowę wziął się Tata, jeden z największych indyjskich multikoncernów. Tu przynajmniej nie ma niespodzianki.

COVID-19, tydzień czterdziesty czwarty

Pandemia lekko przyspieszyła, jest już ponad milion ofiar śmiertelnych, liczba przypadków w 198 państwach przekroczyła 33 mln, w ciągu tygodnia przybyło 2,2 mln nowych (według Johns Hopkins University, w poniedziałek, 28 września). 60 proc. zakażeń przypada na Stany Zjednoczone, Indie, Brazylię i Rosję. W USA zanotowano ponad 7,1 mln zachorowań i 205 tys. ofiar śmiertelnych. „To wstyd [shame] – komentował prezydent Trump – ale gdybyśmy nie podeszli do tego właściwie, zmarłych byłoby 2,5 mln”. Najwięcej nowych zakażeń, blisko 100 tys. dziennie, notują Indie. Mają ich już ponad 6 mln, relatywnie mniej śmiertelnych, 95 tys., i ciągle niewiele zachorowań w proporcji do 1,4 mld ludności, ale infekcja z wielkich skupisk szybko przenosi się do mniejszych ośrodków i na wieś. Premier Modi ogłosił na forum ONZ, że indyjska szczepionka, która znajduje się w trzeciej fazie testów, będzie powszechnie dostępna.

Najsilniejsze ognisko koronawirusa znajduje się nadal w Ameryce Łacińskiej – ponad 8,7 mln infekcji. Głównie w Brazylii, ale w pierwszej dziesiątce najbardziej dotkniętych jest też Peru, Kolumbia, Meksyk i Argentyna. W Brazylii liczba nowych zakażeń przekroczyła 4,7 mln i jest ponad 140 tys. ofiar śmiertelnych.

W Rosji, czwartej pod względem liczby zarażeń, jest ich ponad 1,2 mln i 20,2 tys. śmiertelnych. W Moskwie, gdzie liczba infekcji wzrosła nagle o połowę, do 1500 dziennie, zalecono pozostanie w domu osobom powyżej 65 lat i kobietom w ciąży. Ponad połowa przypadków w Afryce – 670 tys. – przypada na RPA, gdzie następuje normalizacja i znosi się restrykcje. Natomiast ostry lockdown, obowiązujący w Izraelu od tygodnia – wprowadzony na czas głównych tutejszych świąt – został jeszcze zaostrzony. Drastycznie ograniczono działalność gospodarczą i wychodzenie z domu, zamknięte jest lotnisko, szkoły i synagogi (za wyjątkiem święta Jom Kipur), a liczbę uczestników modlitw i manifestacji ograniczono do 20 osób. Izrael ma największy na świecie współczynnik zakażeń per capita, ale obecne restrykcje często bywają



Ultraortodoksyjni Żydzi na pustym targu Mahane Yehuda, Jerozolima.

bagatelizowane. „Obudźcie się, dosyć już tego!” – komentował premier Netanjahu w emocjonalnym wystąpieniu liczne przypadki niefrasobliwości.

W Europie skala infekcji rośnie w tempie 20 proc. tygodniowo; drastycznie w Hiszpanii – nowy lockdown, obejmujący ponad milion osób w regionie madryckim, został rozszerzony. WHO informuje o rosnącej grupie hospitalizowanych 15–49-latków. Komisarz ds. zdrowia Stella Kyriakides wezwała kraje unijne do wzmożenia testów, skuteczniejszego śledzenia ognisk infekcji i zwiększenia gotowości szpitalnej. Jako kraje, gdzie sytuacja jest najgroźniejsza, wymieniła (obok Hiszpanii) Rumunię, Bułgarię, Chorwację, Węgry, Czechy i Maltę. Znaczny wzrost zakażeń notuje Wielka Brytania (sieć Tesco wprowadziła tu reglamentację mąki, makaronu i papieru toaletowego), Francja, Włochy i Portugalia, a rekordy infekcji mają Węgry, Słowacja i Polska.

Na lotnisku w Helsinkach testowane są pierwsze psy wykrywające koronawirusa u pasażerów z blisko stuprocentową precyzją. Według francuskich badań reagują na specyficzny zapach potu. Psy w tej roli sprawdza też Dubaj i Australia. Wiedeń odwołał swój letni wielki bal w Operze, Rio de Janeiro, bezterminowo, swój karnawał, po raz pierwszy od 100 lat, a nowy japoński premier Yoshihide Suga ogłosił swą determinację, aby przeprowadzić w 2021 r. w Tokio zawieszone igrzyska olimpijskie, „jako dowód zwycięstwa ludzkości nad pandemią”. (WP)

Uzurpator i cyfrowi partyzanci

Białoruś weszła w okres symbolicznej dwuwładzy. Inauguracja szóstej kadencji prezydenckiej Łukaszenki 23 września była skromniutka, potajemnie zorganizowana, bez transmisji na żywo w telewizji, a miejsca dla publiczności zajęli przedstawiciele wiernego aktywu. Szereg rządów w Europie, w tym polski, a także amerykański nie uznają Łukaszenki jako legalnie wybranej głowy państwa. Przy czym mundurowi i cała biurokratyczna drabinka, od ministerstw po najmniejsze urzędy gminne i prowincjonalne posterunki, są gotowi wykonywać polecenia Łukaszenki, stąd reżim ma kim aresztować i bić protestujących oraz starać się normalnie administrować krajem, który od dwóch miesięcy odrzuca łukaszenkizm.

Druga strona nadal maszeruje. Demonstracje w ostatnią niedzielę września (w Mińsku do 100 tys. osób) przeszły jako ludowa, kolorowa i rozpieszczana inauguracja prawdziwej, narodowej prezydent – wybranej w sierpniowych wyborach Świątłany



Cichanouskiej. Znowu manifestowano w wielu miastach, znowu w ruch poszły pałki, armatki wodne i gaz łzawiący, znowu zatrzymano setki demonstrantów. Nowością

jest działalność hakerów, nazywających siebie cyfrowymi partyzantami, ich zapleczem jest mocny na Białorusi sektor informatyczny. To ich dziełem ma być blokada systemu komputerowego białoruskiej służby celnej, co zaowocowało kolejkami na granicach, po polskiej stronie kierowcy ciężarówek stali, zamiast zwyczajowych kilku, ponad dwadzieścia godzin.

Znacznie poważniejszym ciosem jest ilustracja funkcjonariuszy prowadzona przez Andrew Maximova, mieszkającego w Los Angeles twórcę gier, który wykorzystując sztuczną inteligencję i programy do rozpoznawania twarzy, potrafi zerwać kominiarkę czy maskę z omonowców, zwykłych milicjantów i wojskowych, przez co zamaskowani, występujący dotąd bez dystynkcji ludzie, stali się rozpoznawalni. W sieci pojawiły się, też wykradzione, ich prywatne dane, a przy wejściach do ich domów napisy, że pod tym adresem mieszka „faszysta” z takiej a takiej jednostki. Cyfrowi partyzanci zapowiadają, że to dopiero początek.

Zjednoczona Prawica po wielodniowych kłótniach, targach i wzajemnym zastawianiu pułapek jest teraz jeszcze bardziej zjednoczona, jak nigdy. Najdziwniejsze jest to, że ktoś jeszcze w takie przekazy wierzy.

Po burzy mgła

MARIUSZ JANICKI



Zbigniew Ziobro okazał się za słaby, aby wyruszyć w samodzielną polityczną wędrówkę, a Jarosław Kaczyński za słaby, by się go pozbyć. Aż tak bardzo nie można było usunąć z rządu Ziobry, że wicepremierem ds. jego nadzorowania może zostać sam Kaczyński (jeśli się na to w końcu zdecyduje, bo to wciąż nie jest jasne). Taka jest skala zwycięstwa prezesa PiS. Szefem Kaczyńskiego w rządzie może zostać Mateusz Morawiecki, a szefem Morawieckiego w partii – Kaczyński. Morawiecki ma zostać w listopadzie zastępcą prezesa PiS, a prezes – zastępcą Morawieckiego. W przypadku rządzącej prawicy często to, co wydaje się najbardziej nieprawdopodobne i kuriozalne, staje się właśnie faktem. Może się okazać, że obóz rządzący zorganizował wielodniowe, gorszące widowisko po to, aby swojego lidera wstawić do rządu. Jak napisał prawnik publicysta, Kaczyński jako wicepremier wyborców PiS „zdziwi, ale nie wzbudzi emocji”. To niewiele jak na tę całą akcję.

Podobno Solidarna Polska zabiegała o wejście Kaczyńskiego do rządu. Powód wydaje się dość jasny: prezes PiS w rządzie oznaczałby automatyczne osłabienie wpływów premiera Morawieckiego. I tak miejscem decyzyjnym była dotąd Nowogrodzka, ale „ośrodek dyspozycji politycznej” zyskałby dodatkowy, formalny wymiar, Nowogrodzka przeniosłaby się do Kancelarii Premiera. Ziobro i jego Solidarna Polska i tak woła surowe oko Kaczyńskiego i jego „szarogęszenie” się w rządzie niż samodzielność Morawieckiego. Premier zostanie rozwodniony, a to jest dla Ziobry zawsze zysk.

Tak czy inaczej ma powstać – jak głosi partyjna propaganda, powtarzana jeden do jednego także przez media niepisowskie – „superrząd”, mający rozbijać resortowe „silosy”, jako element „szerszego planu”, który podobno był od dawna brany pod uwagę. Taki przekaz ma stworzyć wrażenie, że to nie Ziobro był przyczyną ewentualnego pójścia do pracy Kaczyńskiego, bo sami politycy PiS czują, że taki powód to trochę wstyd. Jak zatem stwierdził Norbert Maliszewski, szef Centrum Analiz Strategicznych, na portalu wPolityce.pl: „Z Polski resortowej, gdzie każdy minister miał niepodzielnie osobne »królestwo« (...) zmiany idą w kierunku modelu, gdzie jest bardzo silne centrum i centrum to wzmacniałby Jarosław Kaczyński”. Jednak to właśnie komitet ds. bezpieczeństwa (z podległą mu obroną, sprawami wewnętrznymi i sprawiedliwością), który miałby nadzorować Kaczyński, stałby się takim oddzielnym i niepodzielnym superkrólestwem, których według Maliszewskiego ma już nie być. Właściwym premierem od realnej władzy byłby wówczas Kaczyński, a Morawiekiemu pozostałaby rola jego zastępcy ds. gospodarczych i innych, które Kaczyńskiego nie interesują. Zresztą ogłaszane „odchudzenie rządu” wcale nie musi oznaczać większych oszczędności na administracji, co podawano jako jeden z argumentów. Ministerstwa powiększone o nowe dziedziny i kompetencje będą musiały tworzyć nowe departamenty, kolejne stanowiska, obsługę prawną, sekretariaty i referaty. Dopiero za jakiś czas będzie można zobaczyć, czy rzeczywiście cokolwiek się „odchudziło”.

Z nadzorowaniem Ziobry też może być problem. Chociaż Ziobro łączy funkcję ministra i prokuratora generalnego, to nie



© RADEK PIETRUSZKA/PAP

oznacza, że wobec obu tych funkcji Kaczyński miałby takie same możliwości nadzoru. Owszem, Kaczyński może mieć lepszy wgląd w działalność legislacyjną resortu sprawiedliwości już na wczesnych etapach projektów. Ale jako prokurator generalny Ziobro ma dużo swobody zarówno co do prowadzonych śledztw, jak i personalnej obsady; w przypadku prokuratora krajowego i sądowniczych instytucji swoje kompetencje ma też prezydent. Ziobro w każdym więc przypadku zachowa dużo władzy, wiedzy i swoich ludzi w kluczowych miejscach. Za to przyjsięcie Kaczyńskiego do rządu byłoby jednak jakimś zawołanym wotum nieufności wobec Morawieckiego, wynikałoby z tego, że premier nie poradził sobie z Ziobrą, w końcu podwładnym, który – jak słyhać – lekceważąco nie przychodził na posiedzenia Rady Ministrów.

Zażegnany kryzys w obozie władzy jest uważany za wygraną Jarosława Kaczyńskiego, tak jakby było coś szczególnego w tym, że posiadacz dwóch setek posłów wygrywa z kimś, kto ma ich, jak Zbigniew Ziobro, kilkunastu. Nie wiadomo też, jak mierzyć ten sukces, skoro Ziobro okazał się tak ważny, że do jego neutralizacji potrzebny był aż Jarosław Kaczyński. W efekcie całej operacji do rządu wchodzi polityk z czołowych miejsc sondażowych rankingów nieufności. W dodatku wciąż nie wiadomo, na czym polega nowa koalicyjna umowa, szczegółów nie podano, a w nich mogą się zawierać przyszłe konflikty: co z listami wyborczymi, subwencjami, podziałem stanowisk? Zwycięstwo było więc typowo pyrrusowe, a fakt jest taki, że Ziobro okazał się nie do usunięcia. Dlaczego?

Po pierwsze, okazało się, że PiS nie jest w stanie przeciągnąć na swoją stronę choćby części posłów Solidarnej Polski i sprawić, że opuszczą Ziobrę. Nawet publicysta Michał Karnowski, z reguły gorliwie broniący decyzji Kaczyńskiego, przyznał to na łamach swojego portalu: „Solidarna Polska też może mówić o pewnym sukcesie – wytrzymali jednak zderzenie silniejsze niż to, które rozbiło drugiego koalicjanta PiS, nie rozbiegli się”. Że były starania, aby stymulować takie „rozbiegnięcie się”, przyznał szef klubu PiS Ryszard Terlecki, mówiąc o nadziei, „że niektórzy zostaną”, kiedy wyrzuci się Ziobrę. Na przechwycenie wszystkich 18 nie było szans, ale PiS wystarczyłoby z ośmiu–dziesięciu. Głosowania w Sejmie pokazują, że większość ok. 225–230 posłów wystarcza do przeprowadzania ustaw, ale już 220 i mniej tego by nie gwarantowało. Rząd może być mniejszościowy, ale nie aż tak; przestroga są tu męczarnie SLD w ostatnim roku rządzenia sprzed półtora dekady, kiedy najpierw Miller, a potem Belka chodzili po prośbie przed każdym głosowaniem. Zresztą sam Kaczyński ma tu swoją traumę: w 2007 r. najpierw z hukiem wyrzucił Andrzeja Leppera i jego Samoobronę z rządu, mówiąc przeprasza, że nie będzie więcej koalicji z takimi ludźmi, a po kilkunastu dniach musiał go przyjąć z powrotem na funkcję wicepremiera. Z tego samego powodu, dla którego ostatnio nie wyrzucił Ziobry z rządu: ponieważ nie udało mu się przeciągnąć posłów Samoobrony bez Leppera. Ludzie Ziobry zaś, jak kiedyś ekipa Leppera, musieli dojść do wniosku, że lepiej trzymać się lidera i tworzyć zwartą grupę, bo wówczas prawdopodobieństwo przetrwania jest większe niż po rozbiciu i podziale ugrupowania.

Po drugie, Ziobro w rządzie wciąż wydaje się bezpieczniejszy niż poza rządem. W poprzedni poniedziałek prokurator generalny Ziobro najpierw wystąpił z konferencją prasową w sprawie afery Getbacku, w której tropy prowadzą do ludzi powiązanych z PiS. Zapowiedział gromko, że wkrótce, na następnej konferencji, już jako minister wypowie się na tematy polityczne i odpowie na wszystkie pytania. Jednak tak się nie stało – wygłosił ogólnie pojednawczą mowę i nie odpowiedział na pytania. Ewidentnie w ciągu dwóch godzin dzielących te dwie konferencje dostał sygnał z Nowogrodzkiej, żeby nie palił mostów zbyt daleko idącymi słowami, bo rzecz jest wciąż do dogadania. Wiele wskazuje, że to wtedy zapadła kierunkowa decyzja o porozumieniu, a potem przez kilka godzin, podobnie jak w kolejnych dniach, szlifowano szczegóły. Nawet jeśli natychmiast zdymisjonowano by Ziobrę z jego wiceministrami, przejęto jego biurko i papiery, to w resorcie i w całej strukturze prokuratorskiej pozostały setki prokuratorów wiernych Ziobrze, którzy zawdzięczają mu stanowiska i awanse, mający wiedzę o śledztwach, także tych niewygodnych dla władzy. Ryzyko było duże, zwłaszcza że PiS ma na karku jeszcze szefa NIK Mariana Banasia. A warto przypomnieć, że nawet w czasach rządów Platformy w prokuraturze wciąż pozostawało wielu ludzi z nadania Ziobry w latach 2005–07. Nad przeciekami ze śledztw, choćby i przerwanych, nikt nigdy w Polsce specjalnie nie panował.

Po trzecie, wyrzucenie Ziobry i jego SP z rządu nieuchronnie spychałoby PiS w stronę jeszcze większego prawicowego radykalizmu. Wtedy bowiem partia Kaczyńskiego musiałaby rywalizować z Ziobrą o twardy, antyeuropejski, ksenofobiczny elektorat. A ostatnie wybory prezydenckie uzmysłowiły strategom PiS, że ich ugrupowanie ma wielkie deficyty w politycznym centrum, wśród wyborców młodych, miejskich, inteligentnych. Konieczność bicia się z Ziobrą o „tradycjonalistów” zniweczyłaby plan Kaczyńskiego odbicia tych „umiarkowanych”, a o takich zamiarach prezes PiS kilka razy mówił w wywiadach. Takie aspiracje zgłasza też nieustannie premier Mateusz Morawiecki, w którego Kaczyński jest zapatrzonny. Lepiej zatem mieć prawą flankę przy sobie i przedstawiać ją ►